

## ALEKSANDER RAFIŃSKI

---

Kpr. rez. Aleksander Rafiński, ur. [nieczytelne] w Kcyni, pow. Szubin, woj. pomorskie, kołodziej, żonaty; 2 Kompania Batalionu Wartowniczego.

---

Byłem [nieczytelne] 1939 r. internowany na Litwie. 9 lipca 1940 r. władzę nad naszym obozem objęło sowieckie NKWD. 10 lipca pod silną eskortą doprowadzili nas na dworzec kolejowy do Kowna, gdzie nas załadowali do wagonów towarowych, po 40 ludzi do wagonu, pozamykali szczelnie, nie pozostawiając żadnych otworów dla [dopływu] powietrza przy tak dużej gorączce [upale], jaka w tym czasie była. 14 lipca zostaliśmy wyładowani i ruszyliśmy pieszo w drogę 35 km do obozu w Juchnowie, gdzie doszliśmy wieczorem. W drodze dużo kolegów zemdłało, bo do picia nic nie dali, a zmuszali ich do dalszego marszu.

W obozie nas mieli jako internowanych. Warunki życiowe i mieszkaniowe były możliwe, opieka lekarska także, praca tylko w obrębie obozu. Było nas tam przeszło 2,5 tys. osób. Każdego z osobna brali na przesłuchanie, a niektórych brali kilkakrotnie, przy czym trzymali ich po parę godzin. Po niedługim czasie niektórych zabierali nocą i wywozili pojedynczo. Później się dowiedzieliśmy, że pojechali do Kozielska, gdzie byli nasi panowie oficerowie i policja. Były między nimi jednostki, o których pobycie nie wiedzieliśmy, a ich nazwiska nie są mi znane. Bardzo często robili nam pogadanki propagandowe i mówili, że Niemcy to ich sprzymierzeńcy, z nimi wojować nie będą, Polski już nie będzie, a Anglia to kurwa.

Z początkiem czerwca 1941 r. wywieźli nas do Murmańska, po paru dniach załadowali na statek towarowy i wieźli Morzem Barentsa na Półwysep Kolski. Podróż trwała osiem dni. Było nas na statku 3 tys. osób. Do ustępu wypuszczali pojedynczo, trzeba było trzy-pięć godzin stać w kolejce. Ostatnie dwa dni na statku nie dali nawet nic do jedzenia i picia. To już wszyscy myśleli, że to nasz koniec życia. Gdy nas wysadzili na ląd, zobaczyliśmy tylko skały i moczary, przez które musieliśmy przechodzić do obozu, który był bardzo mały i stały

tylko cztery namioty. Jedzenie dali dopiero wieczorem. Dwa dni potem wyprowadzili połowę z nas przez bagna i kamienie osiem kilometrów dalej, gdzie nie było żadnych namiotów.

Mieszkaliśmy pod gołym niebem, dopiero zaczęli namioty stawiać i to na mokrych miejscach i bez prycz. Na drogę wtenczas nam [dali] suchy prowiant na sześć dni i to 250 g chleba, 150 g sucharów, parę surowych ziemniaków, trochę makaronu i dwa słoiki grochu konserwowego. Sami sobie musieliśmy gotować, lecz nie było opału, bo drzewa tam nie rosły.

Brali nas na roboty na dwie zmiany, dziennie po dwanaście godzin, do budowy lotniska i dróg, bo żadnych dróg nie było. Zmuszali nas do wyrabiania normy, że podług pracy dostaniemy jedzenie. Trwało to dziesięć dni.

11 lipca o godz. 22.00, gdy rozpoczęliśmy pracę, przyszedł rozkaz przerwać pracę. Natychmiast przerwaliśmy i wróciliśmy do obozu, a 12 lipca zostaliśmy znów załadowani na statek i to w ten sposób, że jeden przy drugim mógł tylko na kolanach spoczywać, do jedzenia dali surową rybę soloną, łyżkę kapusty i ok. stu gramów chleba, raz dziennie wody morskiej. Tak nas wieźli cztery dni do Archangielska, stamtąd po pobycie siedem dni pod gołym niebem część z nas odjechała pociągiem do obozu Wieźniki [Wiaźniki], gdzie już było 8 tys. polskich niewolników zwolnionych z pracy. W tym obozie byliśmy do końca sierpnia, kiedy to przybył nasz polski przedstawiciel, przy którym odbyliśmy komisję i zostaliśmy wysłani transportami po tysiąc ludzi do 5 Dywizji Piechoty do Tatiszczewa.

Na Półwyspie Kolskim dowiedzieliśmy się, że zostaliśmy osądzeni wyrokiem zaocznym na pięć lat jako polityczni. Z ludźmi cywilnymi mało się spotykałem, ale mogę powiedzieć, że się do nas dobrze odnosili.

O wypadkach śmiertelnych nie mogę nic donieść, nie byłem świadkiem takich wydarzeń.